

WWW.ASCENDINGSTORM.COM

SKLEP RZECZY MARTWYCH

**Sto dwadzieścia cztery lat
i dwa dni**

DARCHEART STUDIO

Minęły niemal dwa tygodnie od sabatu, a Lissie straciła jakikolwiek kontakt z Baltinim. Podczas jednej z rozmów z Rivie wspominał, że mijał starca na korytarzu w katedrze Zakonu Magii. Dziś jeszcze przywołuje miłe uczucie w żołądku, kiedy to Lucas zadzwonił do niej po raz pierwszy. Nie oczekiwała, iż ta jednorazowa przygoda może przerodzić się w coś większego, lecz wszystko zmierzało w tym kierunku.

W ostatniej rozmowie mężczyzna napomknął o nadchodzących urodzinach Baltiniego. Zdziwiła się, że starzec ma karku już sto dwadzieścia cztery lata. Słyszała o tym, że ludzie związani z magią żyją dłużej. Sama popadła w zadumę myśląc o tym, czy kiedykolwiek dożyje tylu lat i czy w ogóle ma na to ochotę. Następnie spojrzała w lusterko, wyobraziła sobie swój wygląd za sto lat i z salwą śmiechu krzyknęła „nie ma mowy!”. Gdy ujarzmiła rechot z pełną powagą zaznaczyła datę w kalendarzu i podpisała „124 urodziny” z uśmiechniętą buźką.

Tego dnia już nic się nie wydarzyło. Klientów zawsze było, jak na lekarstwo. Ktoś przychodził raz na tydzień, zahipnotyzowany przeglądał starocie i wybierał przedmiot, który podświadomie go wołał. Tym razem jednak nie było choćby jednej osoby w ciągu ostatnich dziewięć dni od powrotu do sklepu.

Pałętała się znudzona po części mieszkalnej znajdującej się nad magazynem. Przeczytała „Sanitatem magicæ”, księgę napisaną przez francuskiego znachora Fryderyka Borlaux o białej magii z dziedziny zaklęć leczniczych. Po lekturze zabrała się za sprzątanie, a potem eksperymentowała z uzdrawiającymi czarami na uschniętych begoniach.

Lissie usłyszała brzdąknięcie dzwonka uwieszonego nad drzwiami wejściowymi. Z podnieceniem zbiegła po schodach i wpadając na salę ujrzała Baltiniego. Przyglądał się kalendarzowi. Jego grymas twarzy i ślamazarne ruchy wskazywały przemęczenie i pewnego rodzaju niezadowolenie. Był na tyle niemrawy, że ledwo ujrzał dziewczynę. Uśmiechnął się do niej z wymuszeniem i rzekł:

-Dziś mam urodziny? Tyle lat minęło?-uniósł palec wskazujący i przyjrzał się dacie-Jak się dowiedziałaś?

-Lucas coś wspomniał...

-Rivie?

-Tak.

-Rozmawiacie?

-Zdarza nam się-rumieniec zalał jej twarz.

-To świetnie-podszedł do niej i ucałował ją w policzek-przepraszam, ale muszę się zdrzemnąć.

-Poczekaj! Upiekłam ci ciasto urodzinowe!

-To miłe, ale jestem naprawdę zmęczony. Chyba możemy z tym poczekać do wieczora?-porzucił walizkę i niezgrabnie zaczął wspinać się po stopniach.

-Jasne...-usłyszała trzask drzwi prowadzących do sypialni starca-żaden problem...-szepnęła pod nosem.

Dziewczyna posmutniała. Od pewnego czasu czuła się samotna. Więż która połączyła ją z Baltinim stawała się coraz cieńsza. Wyczuwała to, lecz nie potrafiłaby zwrócić uwagę staruszkowi. Pokochała go, jak dziadka i za wszelką cenę nie chciałaby go stracić. Był jej jednym przyjacielem, który nagle się oddala.

Usiadła w milczeniu i zaczęła bawić się przedmiotami. Robiła to coraz częściej czekając na klientów. Bez problemu potrafiła siłą woli żonglować nawet kilkoma przedmiotami. Magia była dla niej jedyną rozrywką, bawiła się nią i z dnia na dzień zauważała, jak jej moc rośnie. Lewitacja to tylko wierzchołek góry lodowej. Z łatwością uratowała uschnięte roślinki stojące w kuchni dzięki zaklęciu z „Sanitatem magicae”. Wciąż jednak nie miała komu pochwalić się nowymi sztuczkami.

Baltini zbudził się tuż po zachodzie słońca. Drzwi jego sypialni skrzypnęły, kiedy Lissie studiowała „The Discoverie of Witchcraft”, lecz wokół niej w powietrzu dryfowały jeszcze trzy inne książki podtrzymywane siłą woli. Jednakże kiedy tylko usłyszała kroki starca zdekoncentrowała się i ciężkie tomiszczą z hukiem upadły na podłogę. Podskoczyła zląkniona i zaczęła zbierać książki.

Chwilę później dziewczyna zaskoczyła Baltiniego, gdy wychodził z łazienki. Złapała go za dłoń i bez słowa wyjaśnień zaciągnęła na zaplecze

sklepu. Kiedy weszli do pomieszczenia stał przed nimi stolik z upieczonym ciastem i przysunięte dwa fotele.

-Spędźmy trochę czasu razem-rzekła prosząco Lissie.

-Już dawno nie świętowałem urodzin-przyznał niechętnie starzec.

-To nic, siadaj-zmusiła go do zajęcia miejsca w fotelu-zjemy ciasto urodzinowe i pogadamy.

-Wygląda naprawdę smacznie, ale...

-Bez wymówek-przerwała mu i wcisnęła w wypiek świeczkę-tego brakowało-przyznała dumnie i usiadła naprzeciw starca.

-Tyle lat już minęło-uśmiechnął się gorzko.

-Jesteś wciąż młody-pocieszyła go-no już! Pomyśl życzenie-Baltini wpatrywał się dłuższą chwilę w płomyk, nabrał powietrza w płuca jakby miał ugasić płonący dom i szybki wydmuchem ugasił świeczkę.

-Pięknie-Lissie uśmiechnęła się i zaczęła dzielić ciasto. Podała mu talerzyk i zauważyła, że patrzy na łańcuszek, który wręczył jej podczas sabatu-wciąż go noszę-zapewniła go i dotknęła delikatnie dłonią przywieszki.

-Cieszę się. Dałem go mojej córce, kiedy wyjeżdżała na studia.

-Nie wspominałeś, że studiowała. Przypominam ci ją?

-Nie, ona była normalna. Jak jej tata...

-Co? Nie jesteś normalny-ugryzła się w język-znaczy się, wiesz w jakim sensie, magicznym!-zaakcentowała ostatnie słowo.

-Nie było w niej magii, a przynajmniej tak chciałem myśleć. Zawsze gdy czarowała krzyczałem na nią i zakazywałem jej tego. Pamiętam jak miała trzynaście lat i poprosiłem by podała mi talerz do mycia. Zrobiła to siłą woli, wydarłem się na nią, a talerz rozbił się w drobny mak. Dostała za to tydzień szlabanu-Baltini westchnął ciężko-myślała, że to tylko zabawa. Chciała mi zrobić psikusa tym talerzem, rozumiesz?

-Czy jej matka...?

-Czy była czarodziejką? Tak, jedną z najlepszych. Chcesz posłuchać jak ją poznałem?

-Pewnie-Lissie poprawiła się w fotelu i z ekscytacją czekała na historię.

Baltini zagłębił się w otchłani przeszłości, odszukał pierwszą stronicę owych wspomnień i rozpoczął tę samą historię po raz enty przewracając kartki.

Tuż po I wojnie światowej pracowałem z Williamem Lacourtem dla Zakonu Magii. Wtedy wszystko inaczej funkcjonowało, świat wyglądał inaczej, ludzie obdarzeni darem magii nie pojawiali się wśród zwykłych śmiertelników. Jednakże mieli do kontaktu z nimi pośredników- takich jak my. Wiedzieliśmy o magii, lecz byliśmy zwykłymi zjadaczami chleba. W tamtych czasach zajmowaliśmy się szukaniem starożytnych artefaktów. Był to dochodowy interes, zakon płacił bryłkami czystego złota. Nigdy nie zastanawiałem się skąd je mają, lecz bez problemu można je było przetopić i sprzedać. Tamtego dnia zaś Cecylie Monroe poprosiła o spotkanie w sprawie Włóczni Mihke. Była to broń patrona magii Mihke. Służyła również, jako klucz otwierający skarbiec przodków magii. Według legend broń ta została podzielona na cztery części. Każdy z fragmentów oręża został wręczony oślepienym gońcom, których wysłano w cztery różne kierunki świata. Oczywiście przez całe nasze życie nie udało nam się znaleźć, choćby jednej części włóczni, lecz tamtego dnia Zakon wpadł na trop-jak się okazało po latach fałszywy trop.

Siedzieliśmy u niej w salonie przy herbacie z korzenia trumki jaskiniowej, kiedy z drugiego pokoju wyszła ona. Cecylie przedstawiła nam młodą kobietę, jako jedną z najzdolniejszych zaklinaczek nowego pokolenia. Nieznajoma przedstawiła się nam, jej ciepły głos ocierał się o nasze zmysły. Nazywała się Marianne Falk i pochodziła z Anglii. Jej rodzice należeli do Zakonu od lat, choć nikt z jej potomków nie pełnił nigdy znaczącej funkcji w strukturach Zakony. Monroe zaś była jej mentorką, pomagała młodej przyswoić inkantacje zaklinające.

Od tego dnia nie myślałem już o innych kobietach. Za każdym razem, przy każdej okazji starałem się zamienić choćby słowo z Marianne. Nie było to łatwe. Do połowy dwudziestego wieku mocno przestrzegano zasady więzów krwi. Magicy nie mogli wiązać się z ludźmi niebłogosławionymi darem magii.

Jednakże udawało nam się spotykać po kryjomu.

Wówczas siedziba zakonu znajdowała się na obrzeżach Paryża ukryta wśród gęstych lasów. Tuż za stadniną koni znajdowała się polna ścieżka prowadząca do kniei męczenników-tak go nazwaliśmy, ponieważ przychodzili tam jedynie ludzie potrzebujący samotności. Ci którzy musieli się zmierzyć z własnymi demonami. Co rusz spotykaliśmy adeptów magii dręczonych i walczących ze swoimi słabościami. Jednak żaden z uczniów nie potrzebował naszej pomocy. Nie była konieczna, kiedy odpowiedzi kryją się w sercu.

W kniei męczenników mieliśmy swoje miejsce przy strumyku, którego pewnie już nie ma. To tam poczęta została nasza córka Gwendolyn Baltini. Wtedy myśleliśmy, że spotkało nas największe szczęście, a jednak Zakon był innego zdania. Niemal zabili nasze nienarodzone dziecko podsuwając Marianne zatrutą herbatę. Według ich scenariusza miała jedynie poronić, podobno.

Musieliśmy wyjechać z Anglii. Na czas porodu udaliśmy się do Andaluzji i mimo przeciwności losu nasza mała istotka pojawiła się na świecie. Żyliśmy w Hiszpanii ponad rok. Wzięliśmy ślub, lecz potem Zakon zaczął się upominać o swoje. Potrzebowali Marianne, nie miała sobie równych, lecz bała się tam wrócić. Chcieli zabić jej dziecko, do czego jeszcze byli w stanie się posunąć?

Miesiąc po ślubie wyjechaliśmy udając się z powrotem do Wielkiej Brytanii, do rodzinnego miasta Marianne i tak przez kolejne sześć lat ukrywaliśmy się przed zakonem migrując po kraju.

Potem jednak Gwen zaczęła wykazywać magiczne zdolności. Miała niespełna dwanaście lat i nie wiedziała jak używać swoich mocy. Starłem się już wtedy przytłumić jej dar. Wpłynęło to jednak na Marianne, nie chciała aby córka ukrywała się przed zakonem do końca życia. Marie wróciła więc do nich i rozwijała się magicznie w zastraszająco szybkim tempie. Cały jej potencjał eksplodował podsycany złością, tęsknotą i przede wszystkim miłością do nas. Została jednak doceniona dopiero wtedy, gdy zdołała wygnać z naszego świata demona zrodzonego z prawdziwego ognia piekielnego i popiołu-Karuksa. Stała się po tym heroicznym czynie się jedną z trzech opiekunek wyroczni. To największy zaszczyt dla członkiń Zakonu Magii.

Parę miesięcy później uciekłem do Stanów Zjednoczonych zabierając ze sobą Gwen. Nasze życie sprowadziło się do życia Zakonem. Klóciliśmy się, poza tym bałem się o naszą córkę. Marianne miała zbyt wiele styczności z czarną magią, która mogła wyczuć słabość mojej żony w Gwen i dopaść naszą bezbronną córkę. Demony są podstępnyimi bestiami, karmią się ludzkim cierpieniem.

W niewielkim odstępie czasu od mojej wyprowadzki wybuchła II wojna światowa, a Zakon bojąc się o swój byt wyniósł się do Stanów Zjednoczonych.

Do dziś mam wrażenie, że była to inicjatywa Marianne. Nie zgadzaliśmy się w wielu kwestiach i zawsze stawiała na swoim. Jako matka nie widziała w sobie zagrożenia dla dorastającej córki. Odnalazła nas i ponownie wszystko poszło po jej myśli. Ponownie stworzyliśmy rodzinę, choć nie miałem zbyt wielkiego wyboru.

Trzeba przyznać, że był to ciężki okres dla świata. Zło triumfowało, ludzie rozkazywali ludziom umierać, ogrom ofiar wojny nagromadził mnóstwo złej energii i Karuks ponownie próbował wkraść się do naszego wszechświata. Nie tylko on, dziesiątki innych demonów i setki piekielnych legionów czyhało na okazję. Jednakże Karuks był najsilniejszy. Zakon postanowił zniszczyć jego duszę zaklętą w szafirowym kryształcie nazwanym Lodowym Sercem za pomocą rytuału comuntia impala.¹

Podczas kiedy wyrocznia podjęła decyzję o unicestwieniu kryształu, Marianne była z nami w domu. Otrzymałem telefon od Lacourta z tą informacją. Znajdował się akurat w siedzibie Zakonu. Odradzałem żonie podróży, lecz nie słuchała mnie. Była pewna, że bez jej pomocy siostry polegną. Wiedziała również, że musimy trzymać się blisko niej. Gdy spytałem dlaczego, odrzekła jedynie, że dla naszego dobra. Poczujęm że coś ukrywa, zawsze kiedy mijają się z prawdą kąciki jej ust nerwowo dygotały. Ubieraliśmy się, gdy Marianne już grzała silnik. Nigdy wcześniej nie widziałem w niej takiej nerwowości. Kazała nam wskakiwać do auta i ruszyła nim zapieliśmy pasy. Nasz stary ford z piskiem opon ruszył na południe, gdzie na obrzezach w gęstych lasach Zakon miał swoją nową siedzibę. Podróż samochodem zajęłaby kilka godzin. Mogliśmy więc na spokojnie przedyskutować całą sytuację, a jednak siedzieliśmy w milczeniu. Spoglądałem na Gwen, wpatrywała się w mijane krajobrazy, pogrążona w myślach.

-Jedź ostrożnie-odezwałem się do Marianne.

-Przecież jadę kurwa, nie widzisz?

-Nie przeklinaj przy dziecku.

-Jest już dorosła i nie mów mi, co mam robić! Chciałeś mnie od niej odsunąć!

-Halo! Jestem tutaj! Możecie się w końcu pogodzić?

¹ comuntia impala-z erdyki dosłownie „przekazywać moc”. Rytuał polegający na przekazywaniu i kumulacji energii w jednym źródle.

-Najwyraźniej nie...-stwierdziła z przekąsem Marianne.

-Zróbcie to teraz, mamy mnóstwo czasu nim dojedziemy.

-To nie jest takie proste, kochanie-stwierdziłem patrząc na nią ze smutkiem.

-Tato? Mamo? Proszę. Porozmawiajcie...

-No dobra, już. Ja zacznę...-podjąłem się wyzwania-Kochanie, martwię się o ciebie...

Młoda kobieta weszła do kryształowej sali i spojrzała po opiekunek wyroczni. Kobiety były podniecone, w ich oczach buchały żywe ognie.

-Jesteście pewne, że powinniśmy to zrobić?

-Karux jest bliski przełamania bariery, musimy spróbować.

-Czyli nie macie pewności? Czy słusznym jest ryzykować?

-Droga Asmo wysłuchaj nas. Nie możemy dłużej czekać, Lodowe Serce powoli pęka. Jeśli tego nie zrobimy zginie wiele osób. Dobrze wiesz, jak to ostatnio wyglądało.

-Wciąż o tym śnie-zamyśliła się patrząc w okno. Trwało to kilka sekund-Dobrze, zróbmy to. Zwołajcie resztę siostr i braci.

-Już się za to bierzemy-rzekła Latesia Sully.

-A co z Marianne Baltini?

-Poradzimy sobie bez niej-stwierdziła pełna wiary.

-Jesteś pewna?

-Na pewno-przytaknęła i szybkim krokiem opuściła salę.

Godzinę później tłum wyczekiwał ponownego przyjścia wyroczni. Wśród zbiorowiska znalazli się: Lucas Rivie, Latesia Sully, Erine Guedes, a także inne postacie powiązane z magią.

Po chwili Asma wkroczyła do sali, szła pewnym krokiem, choć jej twarz ukazywała zakłopotanie. Stała przed nimi i wskazała palcem Latesie.

-Pokaż mi go-zażądała. Kobieta podeszła z niewielkim metalowym kuferkim, otworzyła go ukazując wyroczni kryształ. Lodowe Serce drgało i obijało się o ścianki kufierka. Z widocznych już malutkich pęknięć sączyła się czarna, smołowata ciecz.

-Nie mamy dużo czasu-przypomniała Sully-zróbmy to teraz.

-Dobrze.

Asma wzięła kryształ w obie dłonie, był gorący, niemal palił ją w ręce. Uniosła Lodowe Serce nad głowę i zaczęła wymawiać na głos zaklinające formuły czarodziejskie w starej erdyce². Tłum zaczął powtarzać za nią, a z ciał sióstr i braci wydobywała się mgiełka magicznej energii, którą pochłaniała wyrocznia i przekazywała kryształowi. Niebieska poświata zaczęła połykać dłonie Asmy i spływała w dół niczym kurtyna. Zebrani ledwie widzieli cień kobiety, gdy ta nagle zawyła z bólu.

-Co jest nie tak...-pomyślała Erine widząc krzywiącą się w konwulsjach wyrocznie.

Nagle kryształ rozpadł się w drobny mak uwalniając falę ognia. Chmura żaru uniosła się ku górze smoląc zdobione sklepienie sali. Gdy płomień zgasł zebrani ujrzeli Karuksa. Dwu i pół metrowa bestia stanęła przed nim, ryknęła ostrzegawczo i rzuciła się na Anitę Łotowczenko. Demon przycisnął kobietę do ziemi i wbił pazury w jej klatkę piersiową wysysając z niej życie. Wszyscy byli osłupieni ze strachu, tak otępiali, iż nie przyszło im nawet do głowy pomóc Anicie. Karuks podniósł się i raz jeszcze zaryczał zmuszając tłum do cofnięcia się.

-Marianne Falk...-wyszeptał demon i rozpląnął się w powietrzu zostawiając po sobie jedynie unoszący się kłębek popiołu.

2 Erdyka-język stworzony w 1582 r. przez Fredericka Croucha. Bazujący na łacinie. Powstał w okresie wzmożonych prześladowań czarownic. Do dziś utrzymał się jedynie w formie starożytnych zapisów i zaklęć magicznych.

-Martwię się o ciebie, kochanie. Czujesz to, prawda?

-Ta, jasne.

-Masz styczność z czarną magią, nie chcę żebyś pewnego zatraciła się w tym. Gdy Gwen była dzieckiem ta zła energia mogła jakimś cudem przejść na nią.

-Dziś jest duża, za trzy miesiące bierze ślub, a mogła zostać nadzieją zakonu.

-Mamo przestań! Naprawdę stajesz się coraz mniej wrażliwa!

-Widzisz? Zwolnij i słuchaj. Kocham cię, ale...-spojrzałem na drogę, Marianne jechała coraz szybciej-zwolnij do cholery!

-Trzymajcie się mocno-powiedziała niemal bezgłośnie.

Marianne wyczuła demona, ujrzała go stojącego na jezdni sto metrów przed nami. Dodała gazu, chciała go staranować, lecz wystarczyło, że Karuks wyciągnął rękę i samochód rozerwało na części. Wypadłem z auta, nie wiem jak to się stało, przecież miałem zapięte pasy. Być może nie wytrzymały lub wcale ich wtedy nie było? Nie mam pojęcia. Wyleciałem wysoko w powietrze, odbiłem się od asfaltu i przeturlałem kilka metrów dalej. Byłem oszołomiony. Zdołałem jednak unieść głowę w poszukiwaniu Gwen. Troiło mi się w oczach, lecz dostrzegłem ją na środku drogi. Tuż obok wiła się z bólu Marianne. Duży odłamek blachy przeszył jej udo. Mimo wszystko próbowała się podnieść, chciała nas ochronić przed demonem, lecz była bez szans. Wstała, zrobiła dwa kroki i ponownie upadła. Wciąż nie mogę wymazać tych chwil z pamięci. Karuks z rozkoszą przyglądał się jej męczarni. Niespiesznie zmierzał w jej kierunku, jego oczyska koloru zgniłej zieleni łyptały na nią pożądliwie. Marie zaczęła uciekać czołgając się po asfalcie. Jednocześnie pod nosem wypowiadała zaklęcia ochronne, lecz była zbyt słaba. Demon stanął nad nią i uśmiechnął się widząc strach na twarzy Marianne.

-To na nic-powiedział słysząc jej szeptanie-wiedziałem, że ten dzień nadejdzie...

Wtem Karuks pochylił się nad nią, kiedy nagle usłyszeliśmy płacz Gwen. To była najgorsza rzecz, jaką mogła zrobić. Na czworaka zbliżała się do nich. Krople krwi i łez spływały jej po twarzy.

-Mamo!-zawołała w szlochaniu-mamo!

Demon przeniósł swoją uwagę na Gwen, złapał ją za gardło i podniósł ponad ziemię, lecz nie udusił jej. To byłoby zbyt miłosierne. Rzucił ją o beton, jak szmacianą lalkę. Po upadku ledwie łapała powietrze, ale Karuks nie zamierzał ustępować. Stał nad nią w rozkroku, wysunął rękę i skumulowany pocisk energii rozerwał jej głowę. Kawałki czaszki i mózgu rozlały się po asfalcie, jakby ktoś nafaszerował arbuz trotylem i zdetonował go.

Marianne zaczęła tonąć we łzach. Karuks wiedział co robi. Demony mają to do siebie, że uwielbiają sprawiać cierpienie swoim ofiarom. Odbiorą im wszystko, co jest dla nich ważne nim je ukatrupią.

Przyszła więc kolej na Marianne. Czuję, że było jej już wszystko jedno. Karuks zaczął ją rozbierać. Dosłownie zdzierał z niej ubranie pazurami. Chciał ją upodlić do reszty. Kiedy była już naga i pełzała po drodze w rozpacz, demon postanowił skrócić jej katusze. Położył jej dłoń na plecach i wypalił w jej ciele dziurę wielkości piłki do koszykówki. Nie miała szans przeżyć.

-Ciebie nawet nie tknął?!-spytała zaskoczona.

-Nie, najwyraźniej nie zauważył mnie. W tamtych czasach nie było we mnie krzty magii.

-Łże jak pies...-obcy szept wybrzmiał upiornie w głowie dziewczyny. Lissie mimowolnie dotknęła wypukłości odznaczającej się w jej kieszeni na mocno przyległych do skóry jeansach.

-Jak to możliwe? Myślałam, że ludzie się z tym po prostu rodzą-próbowała zachowywać się naturalnie ignorując szepty.

-I tak i nie. Są wrodzone zdolności magiczne. Jednakże jestem najlepszym przykładem na to, że magia nawiedza wszystkich. Spędziłem w tym sklepie połowę życia. Dzień w dzień chłonę energię od tych przedmiotów. Mam wrażenie, jakby czasem do mnie mówiły.

-Też tak mam...

-Naprawdę? To ciekawe.

-Czy to możliwe?

-Nie sędzę, powiedziałem to tylko tak, no wiesz...

-Wiem-przytaknęła-może powiesz mi, jak to wszystko się zaczęło?

-Co?

-Ten sklep. Chyba jesteś jego pierwszym właścicielem?

-Mam wrażenie, że TO nie będzie miało nigdy swojego właściciela. Ten sklep naprawdę żyje, takie odnoszę wrażenie każdego dnia. Wszystko jednak zaczęło się dość niespodziewanie. Gdy zmarła moja rodzina przestałem współpracować z zakonem. Aczkolwiek nowe przedmioty same zaczęły wpadać mi w ręce. Skupowałem je w wynajętym garażu. Któregoś dnia przyszedł do mnie znajomy Lacourta. Potrzebował jakiejś pierdoły, którą akurat miałem. Potem przyszła kolejna osoba z polecenia. Oddawałem te wszystkie rzeczy za darmo. Nie chciałem mieć do czynienia z magią. Jednakże miałem pasję poszukiwania. Zawsze fascynowała mnie historia tych cudeniek. Poza tym ludzie również oddawali mi je za darmo. Dlatego też nigdy nie wzięłem pieniędzy za przedmiot, którego ktoś potrzebował. Wracając jednak do głównego wątku. Zakon bacznie mnie obserwował, nie było im na rękę, że rozdaje magiczne rzeczy bez żadnej kontroli. Wtedy poznałem Erine. Z polecenia wyroczni podsunęła mi pomysł na ten „sklep”. Umówiliśmy się na cztery uncje złota złota miesięcznie, jeśli będę z nimi współpracował. Tak już zostało do dziś... Oni wiedzą o mnie wszystko, wiedzą o każdym przedmiocie, który przechodzi przez sklep. Nie wadzi mi to, póki nie wtrącają się w moje osobiste sprawy.

-To niesamowite historie. Mogłabym o nich słuchać wiekami, ale robi się późno-wstała i ucałowała go w policzek-czas do spania.

-Gdybym tylko mógł zasnąć-skomentował, kiedy był już sam.

Toni powolnie zdjął szlafrok i rzucił go na stare, drewniane krzesło. Nie miał ochoty na sen, czuł że nie ma na to czasu. W wszechświecie dzieje się coś niedobrego, lecz nie potrafił tego zidentyfikować.

Położył się na łóżku i nakrył kołdrą. Spędził tak kolejne półgodziny wpatrując się w sufit, niewidzialną dłonią grzebiąc w swoim umyśle. Rozmyślał nad życiem, nad tym co powiedział Lissie i czy wyczuła jego kłamstwo. Wszakże w jej twarzy coś się zmieniło, kiedy usłyszała, że demon go nawet nie tknął. Żył z tym brzemieniem przez dziesiątki lat i wydawało mu się, że z każdym kolejnym dniem sypie się jego przyszłość. Wszystkie jego sekrety zmierzają do punktu krytycznego. Nadejdzie czas, kiedy ujrzą one światło dzienne, lecz nie chciałby dożyć tej chwili.

Spędził kilka mrocznych chwil w objęciach zmartwień póki sen nie dał mu ulgi. Gdy zaś jego umysł przeniósł się na drugą stronę rzeki, w której rządziły mary ujrzał ją. Przybyła do niego.

Mrok zalał niebo, na którym wysypał deszcz gwiazd. Poczł przyjemny powiew letniego wiatru w parną noc. W trawie cykały świerszcze, niewidoczne drozdy ćwierkotały kolejną kołysankę. Toni ruszył wydeptaną ścieżką w kierunku drewnianego domu otoczonego bujną roślinnością. Docierając do końca dróżki ujrzał wyrocznie siedzącą na ganku. Kobieta pykała papierosa wczuwając się w tętniącą życiem naturę. Tuż przy niej stała stara lampa naftowa rzucająca ciepłe, aczkolwiek słabe światło. Mężczyzna podszedł do wyroczni i przywitał się skinieniem głowy. W odpowiedzi zaprosiła go do towarzystwa. Usiadł obok i wpatrywał się w mrok wijący się między jabłoniemi.

-Gdzie jesteście?-spytał spoglądając na jej spokojną twarz.

-Tu się wychowałam, to moje wspomnienie. Zawsze tu wracam, gdy coś mnie trapi.

-A co ja tutaj robię?

-Chciałam cię tu zabrać. Czuję twoje zmęczenie, odpręż się. Kiedyś, w odległych już nawet dla mnie czasach w letnie wieczory, jako mała dziewczynka bawiłam się z naszym psem między tymi drzewami. Moi rodzice wtedy siadali na schodkach wtuleni w siebie i obserwowali swoją małą pociechę. Ta sceneria przepętla mnie miłością po dziś-połknęła kolejny kłęb dymu tytoniowego i wypuściła go z żalem-tak niewiele mi zostało z tamtego życia.

-To przykre...

-Chciałabym ci Toni pokazać, że wciąż jestem normalnym człowiekiem, takim jak ty. Mój ojciec był zwykłym rolnikiem. Nauczył mnie prostego myślenia, wręcz zero-jedynkowego. To były inne czasy, również dzisiejszy świat różni się od tego, kiedy poznałam Marianne.

-Do czego zmierzasz?

-Muszę ci oznajmić, że nie jestem zadowolona ze wszystkich decyzji, jakie podjęłam w życiu. Myślę że musimy wyjaśnić sobie pewne sprawy.

-Nie wiem, czy jest co wyjaśniać. Chciałaś zabić moje dziecko. Marie mocno przeżyła ciążę. Musieliśmy się kryć, jak szczury! Rozumiesz to? Twoja jedna decyzja zniszczyła nam życie, a kolejną odebrałaś mi je na wieki.

-Wiedziałam, że to nie będzie łatwa rozmowa-odpaliła kolejnego papierosa-w tamtym okresie Zakon i przynależność Marianne uznawałam za priorytet. To był ciężki okres dla nas. Dziś mogę cię jedynie przeprosić.

-Przeprosiny przyjęte-odpowiedział drwiąco.

-Nic nie rozumiesz. Przyzwoliłam na stworzenie twojego sklepu. Stał się on twoim domem. Chciałam ci pomóc, chciałam mieć cię blisko i chronić cię przed złem, któremu się oddałaś Dałam ci szansę ocalenia siebie przez pomoc innym. Udało mi się?

Baltini spojrzał na staruszkę, szczęka zaczęła mu drżeć i zdołał jedynie wybąknąć:

-Chyba tak.

-Dobrze jednak wiesz, że zło i tak cię dosięgnie. To już się dzieje, wiem o tym i nawet nie próbuj zaprzeczać.

-Nie zamierzałem-uśmiechnął się z bezsilności.

-Karma dosięga wszystkich. Wyczuwam, że dopadnie też mnie. To zbliża się wielkimi krokami i odnoszę wrażenie, że pociągnie za sobą wiele dusz.

-Czy ma to jakiś związek z Lissie?

-Poniekąd. Coś ją wyróżnia. Wtargnęła na nasze zebranie, nigdy wcześniej nie przytrafiło mi się coś takiego.

-Zdaje się, że nie zrobiła tego celowo. Byłem przy tym.

-Tak uważasz?-spojrzała na niego z politowaniem-Myślę, że nie możemy jej zaufać. W trakcie sabatu poszukiwała mnie. Czułam jej obecność, pukała do mojego umysłu. Muszę ci coś zdradzić, Toni.

-Słucham?

-Jestem pewna, że coś strasznego stoi za tą dziewczyną. Coś co nią kieruje. Być może jest koniem trojańskim wprowadzonym do naszego Zakonu.

-Skąd te wnioski?

-Miałam wizję, dość niejasną. Jednakże musisz się dowiedzieć...

-Słucham.

-Toni, ona cię zabije...

-To niemożliwe-uśmiechnął się nerwowo i przełknął ślinę.

-Zapominasz kim jestem-stwierdziła z pełną powagą.

-Niemożliwe...

-A jednak.

-I co teraz? Co mam robić?

-Nic, pytałeś Erine o swoją przyszłość. Obiecała ci, że przekaże ci to osobiście.

-To już? Wszystko?

-Na pewne sprawy nie mamy wpływu. Zrelaksuj się. Posiedź ze mną, posłuchajmy drozdów. Chcesz papierosa?

Baltini ułożył się wygodnie na leżaku, który niedostrzegalnie transformował z krzesła. Oparł głowę i wsłuchiwał się w szelesty życia. Oddychał letnim powietrzem przesiąkniętym aromatami kwiatów i owoców. Zamknął oczy i z przerażeniem zorientował się, że uciął sobie krótką drzemkę w towarzystwie wyroczeni. Gwałtownie podskoczył ponownie otwierając oczy...

Znajdował się w swojej sypialni, na łóżku, w piżamie przesiąkniętej potem. Świerkot ptaków wciąż wybrzmiewał w jego uszach, lecz zanikał powolnie, niczym słabnące echo odbijane od ścian wyschniętej studni.

Postawił stopy na zimnych panelach i jęknął z bólu. To krótkie, niekontrolowane zawycie przekształciło się w cichą rozpacz. Toni pierwszy raz od dziesięcioleci nie szczenił sobie łez.

Lissie zbudziła się po trzeciej w nocy. Poczowała nieprzyjemne drapanie w gardle i suchość w ustach. Zrzuciła na ramiona szlafrok i półprzytomna ruszyła do kuchni po szklankę wody. Przechodząc korytarzem ujrzała smugę światła przecinającą mrok. Wydobywała się spomiędzy niedomkniętych drzwi sypialni Toniego. Zaniepokojona zajrzała do pokoju starca. Siedział przy biurku ze szklanką koniaku i rozpalonym papierosem. Był przybity i tak głęboko pogrążony w swoich myślach, że nie dostrzegł jej, choć stała w bezruchu w progu jego sypialni. Zastygnięte ciało dziewczyny pozwalało jedynie nerwowo ruszać gałkami w nieudolnej próbie zrozumienia sytuacji.

-Toni?-szepnęła. Podniósł wzrok i mętnie wbił go w jej osobę. Patrzył na nią, lecz miała wrażenie, że widzi wszystko, co znajduje się pomiędzy, lecz nie ją.

-Zostaw mnie w spokoju-syknął.

-Ale...ale o co ci chodzi?

-Wynoś się! Nie rozumiałaś?!-Starzec energicznie podniósł się niemal przewracając krzesło, podszedł do drzwi i zatrzasnął je z hukiem tuż przed jej nosem.

Lissie stała, jak wryta jeszcze chwilę, a kiedy smutek zalał jej duszę podtapiając i studząc jej gorejące serce pragnienie stało się nic nieznaczącą potrzebą. Zrezygnowała ze szklanki wody i wróciła do pokoju. Siadając na łóżku zastanawiała się, co zrobiła źle. Była młodą duszą, która zaczęła obwiniać się za całe zło świata. Czowała się samotna, pozostawiona na pastwę losu, zaszczuta przez Baltiniego jego oschłym zachowaniem.

Dziewczyna spojrzała pod poduszkę, aby upewnić się, czy kryształ Sagrossy wciąż się tam znajduje się. Nie miała pojęcia w jaki sposób magiczny kamień ponownie znalazł się w jej rękach, lecz pomagał jej w chwilach takie jak te. Mając go pod poduszką mogła we śnie porozmawiać z duszą zaklętą w tym kryształ. Z pewnością nie był to jej ojciec, a jednak duch po drugiej stronie był dla niej większym wsparciem, niż poczciwy Baltini.

Lissie ułożyła głowę na poduszce i z wiara wyczekiwała snu. Pełna nadziei, że „ktoś” odezwie się do niej tej nocy. Czowała się tak bardzo winna...

*******[DARCHEART STUDIO Jeśli chcesz być na bieżąco z kolejnymi opowiadaniem polub moją stronę! To ważne dla mojego rozwoju!](#)

*******[Na Beezar możesz pobrać wszystkie dotychczasowo publikowane opowiadania całkowicie za darmo](#)

*******[BLOGSPOT Pisuję też na blogu! Jeśli chcesz poczytać o procesie pisania, problemach, motywacji i chcesz się dowiedzieć skąd czerpię pomysły. Wyjaśnię również pewne kwestie sporne dotyczące danego opowiadania.](#)